

Wojciech Tułaza

**Pieśń
o Windei
Książęce Przymierze**



Pieśń o Windei Książęce Przymierze
wydanie pierwsze, ISBN 978-83-67348-39-3

©Wojciech Tułaza i Wydawnictwo Agrafka 2022

Redakcja i Korekta
Anna Jakubek

Skład i Łamanie
Olena Mozghovenko

Okładka
Krzysztof Fabrowski

Druk i Oprawa
Print Group sp. z o.o

Wydawca
Wydawnictwo Agrafka
ul. Macierzankowa 15
64-514 Przeclaw
e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com
www.wydawnictwoagrafka.pl

SPIS TREŚCI

Prolog	4
Rozdział I.	Swadźba	25
Rozdział II.	Perun	49
Rozdział III.	Kania	67
Rozdział IV.	Radogoszcz	90
Rozdział V.	Leszy	114
Rozdział VI.	Bereginia	137
Rozdział VII.	Trzygłów	160
Rozdział VIII.	Kwenia	186
Rozdział IX.	Południca	209
Rozdział X.	Wilk	231
Rozdział XI.	Idil	251
Rozdział XII.	Mamuna	268
Rozdział XIII.	Nocnica	286
Rozdział XIV.	Rod	303
Rozdział XV.	Dhakkar	327
Rozdział XVI.	Bies	348
Rozdział XVII.	Narada	368
Rozdział XVIII.	Chudajud	389
Rozdział XIX.	Dąbrawa	410
Epilog	433

Prolog

Zerca uniósł wołowy róg nad swoją głowę, zastygł na moment w zadumie pośród dymu dogasających świec, by po chwili napić się z niego ceremonialnego miodu. Chram, w którym się znajdował, zbudowano z brzoźowego drewna na planie prostokąta. Jego grube, drewniane ściany od pokoleń spoczywały na fundamencie z rogów dzikich zwierząt, a wewnątrz ozdobiły ustawione w okręgu posągi niemych bogów. Każdy z nich stał na niewielkim cokole, skierowany twarzą ku palenisku pośrodku świątyni. U podnóży, na bukowych deskach wyryte były ich święte imiona bukwą – starożytnym pismem Wendów.

Guślarz zwrócił róg w jego pierwotne miejsce, w dłoń bałwana stojącego w najjaśniejszym miejscu chramu. Był to Swarożyc, boski książe i syn Wiecznie Płonącego Słońca, pan Błękitnego Globu, władca Maldessaru.

– Wielki czas już zacząć świętowanie. – oznajmił kapłan milczącym, wsłuchującym się w każde jego słowo bóstwom.

Starzec z wielkim trudem otworzył masywne od-rzwia kąciny. Świątynia otoczona była zewsząd rozległą puszcza, której spokoju nikt nie raczył zakłócać. Wierzono, że za dnia można natknąć się tutaj na przychylnie ludziom duchy, nocą zaś zło przemykało między prastarymi kona-rami. Właśnie zapadał zmrok. Błękitne niebo pomału od-dawało władztwo złocistym warkoczom zachodu. Ostatnie promienie słońca chowały się za koronami pradawnych drzew. Był to najdłuższy dzień roku, dzień zwycięstwa światła nad ciemnością, dzień ognistego tronu najwyższe-go boga.

Ciepłe, letnie powietrze muskało twarz zmierzają-cego do serca Świętego Gaju kapłana. Tam, przy niewielkim stawie rósł potężny dąb, który od niepamiętnych czasów rozpościerał swoje korzenie przy jego chłodnych wodach. Drzewo to czczone było przez Wendów z największym szacunkiem. Działo się tak, ponieważ w sercach Świętych Gajów zazwyczaj rósł tylko jeden temu podobny – Cienio-wit, potomek Drzewa Życia, którego rozmazane, migoczą-ce wśród gwiazd konary podziwiano z zachwytem podczas najciemniejszych nocy.

Żerca odziany w białą, przywołującą na myśl kłębią-ce się na letnim niebie chmury szatę podszedł do stawu, zamoczył swoje stare palce w zimnej sadzawce i przygła-dził wodą długie, siwe włosy oraz gęstą brodę. Następnie położył jedną dłoń na ciemnym pniu Cieniowita, jak gdyby chciał mu ulżyć w cierpieniu, podczas gdy drugą ręką ze-

rwał młodą gałązkę wiekowego drzewa. Spojrzał następnie ku niebu i uśmiechnął się do siebie. Mroki wieczora zwiastowały wielkie wydarzenie – właśnie nadeszła Noc Kupały.

Wiatr niósł z północy rześką, słoną bryzę pobliskiego morza. Na niebie, zza horyzontu powoli wschodziły lśniące niczym latarnie księżycy. Pierwszy zawsze wypływał Kwar, mniejszy, którego jodeitowy blask odziewał świat jaskrawą zielenią. Na nim zasiadał Chors – stwórciel nocnej kotary i opiekun snu. Drugi wyłaniał się Błękitny Glob, rażący w niektóre noce jaśniej od rozpalonych żagwi – Maldessar – siedziba Swaróżyca, syna ognistego Swaroga.

Wszyscy mieszkańcy nadmorskiego grodu Żagle i okolicznych wiosek opola zebrali się wokół wielkiego stosu drew, który układali cały miniony dzień na zachodnim brzegu Jeziora Mewiego. Zasilane było ono przez trzy niewielkie cieki, a wypływała z niego jedna, łącząca je z morzem rzeczulka. Znana była miejscowym jako Błotna Rzeka. Jej bogactwo stanowiły gęste siedliska pstrągów, leszczy i dorodnych szczupaków, które przywoływały swą wielością Wendów rozmiłowanych w tutejszych rarytasach. Ci zaś przy akompaniamencie ptasich śpiewów spędzali całe dni na połowach i pogawędkach z sąsiadami.

Od północnej strony jezioro porastał sosnowy bór, ciągnąc się dalej wzdłuż strumienia, a pozostałe brzegi ni-

kły w rozległych trzciniowych szuwarach. Zaklęta toń swą nazwę zawdzięczała rozlegającym się przez cały rok me-
wim krzykom, choć można było tu dojrzeć także gniazda
gęgawy, a od pierwszych dni wiosny nad akwenem niebo
przecinały klucze powracających z południa żurawi.

Zgromadzeni przy brzegu Wendowie z niecierpliwo-
ścią spoglądali w stronę Świętego Gaju. Długo oczekiwano
na jakikolwiek ruch pośród tonących w ciemnościach ko-
narów, kiedy w końcu z puszczańskiej gęstwiny wyłoniła
się postać. Odziana w białą szatę odbijała blask płynących
po firmamencie księżyców. Żerca powolnym krokiem, jak
co roku, zbliżał się do zgromadzonych z małą, dębową ga-
łązką w dłoni. Im bliżej kapłan się znajdował, tym gwar-
niej i weselej robiło się wśród mieszkańców.

Kiedy doszedł nareszcie do stosu drew, z tłumu po-
częły występować młode, niezamężne jeszcze dziewczęta w
jasnych, podobnych do konwalii sukniach, a ich piersi zdobiły
falujące z każdym ruchem korale niemal bordowej jarzębiny.
Wszystkie one były w podobnym wieku i uważano je w spo-
łeczności za dojrzałe, lecz wciąż patrzono na nie nieco ina-
czej, jak gdyby panieństwo świadczyć miało o niezdarności.
W swych smukłych palcach wszystkie trzymały po niewiel-
kiej kępie piołunu. Wtem nad niezmaconą nawet wiatrem
wodą zapanowała głucha, pełna napięcia cisza, którą już po
chwili wypełnił nerwowy, radosny śmiech niewiast.

Przypatrując się przybyłym gracjom, niknący w za-
lewającej fali mroku żerca uniósł ręce. Ponownie nizinę

opanovał pokój, jak gdyby wszelki dźwięk zdmuchnęły wkradające się od południa powiewy gorącego wciąż powietrza. W tej jednej chwili cały kraj utonął w ciemnościach nocy. We wszystkich wsiach, miastach, kasztelach i podzamczach Windei pogaszono wszelkie światła.

– Dziś oddajemy cześć Kupale! – zaczął kapłan.
– Niech bogini miłości ulituje się nad nami wszystkimi i pozwoli radować się sobą nawzajem w pokoju! Młodzi muszą pamiętać, że to właśnie Kupała wprowadza ich w dorosłość! To ona zaplata dłonie umiłowanych i pomaga im iść przez życie razem, aby było łatwiej znosić jego trudy! – Starzec ściszył ton, a zebrani dookoła Wendowie wytężyli słuch. – Życie bowiem jest jak czas, moi drodzy. On to wszystko daje i on to wszystko odbiera. Czas zrodził Swaroga, i czas Swaroga zgniecie. Dany nam jest tylko raz, w tej chwili, w tym momencie. Właśnie teraz zapisujemy karty historii naszego świata. Musimy więc czerpać z niego nawet najdrobniejszą łupinę, by wspólnie móc się cieszyć, by docenić codzienność, jakakolwiek by ona nie była. Dziś oddajemy cześć przede wszystkim samym sobie, wzajemnemu miłowaniu i trosce o drugą osobę. Dziś ogniska dla was rozpalamy! – oznajmił, spoglądając na młódki. – Cała Windea zapłonie jasnym światłem, aby Kupała z białego grodu bogów mogła dojrzeć nasze starania i spełnić prośby ekscytacji! Niech ogień trzaska w ciemną noc! Niech światło dziś zwycięży!

Bębniarze zabili w kozie skóry, pogrążając okolicę w powolnym z początku rytmie. Zaraz dołączyli do nich gęślarze, którzy szarpiąc za struny, zakołysali skamieniałymi dotąd Wendami. Nagle coś błysło przy stosie drew. To żerca wprawnym ruchem rozjarzył dębową, odebraną Cienowitowi gałązkę. Ułożył migoczącą łodyżkę pod drewniany kopiec, a ten momentalnie stanął w płomieniach. Ogień rósł z każdym mrugnięciem oka. Gorąc żaru w okamgnieniu otulił stojące dookoła stogu dziewczęta. Czerwona łuna ogniska rozjaśniła okolicę, jego jęzory tańczyły nad zebranymi w parze ze swym odbiciem na niewzruszonej dotąd tafli jeziora.

Muzycy grali coraz szybciej. Chłód nocy w jednej chwili przeminął, upadł na kolano przed ciepłym coraz potężniejszego ognia i nie śmiał wkradać się tam, gdzie sięgało światło Kupały. Przewyższająca młode drzewa pozoga sięgnęła zenitu, oczarowując swym ogromem licznie zebrany tłum Wendów. Mewie Jezioro niczym lustro odbijało blask liżących wilgotne powietrze płomieni.

Nie było to jednak jedyne światło w zasięgu wzroku. W oddali, na widnokręgu pojawiały się kolejne. W całej Windei płonęły ogniska. Od kurhanów Zlasaru do wielkiego portu Innopur, od klifów Zachodniego Parsanu aż po księstwo Wazurionu za pradawną rzeką Tanis. Cały kraj błyszczał tysiącem ogników, jak gdyby wszyscy Wendowie rozstawili niekończące się obozowisko pod rozgwieżdżonym niebem tej wyjątkowej nocy.

Kapłan odszedł parę kroków od płonącego stosu, dołączając do kręgu niewiast okalających ognisko. Kiedy dotknął dłoni dziewczyny stojącej po jego prawej stronie, ta zrobiła krok do przodu, a za nią w ślad podążyły inne. Niemal jednocześnie wrzuciły one do wielkiego ognia przyniesione z tutejszych rumowisk kępy piołunu. Wierzano, że ziele to posiadało magiczną moc, dlatego używano go często do rytuałów świątecznych lub do oddalania wszelkiego rodzaju uroków.

Z paleniska buchnął gęsty, żółto-zielony dym o duszącym, gorzkim zapachu. Opary bylicy osiadły nisko między Wendami, tak że każdy zaciągnął się zielnym smogiem. Zebrany błyskawicznie zmiękł nogi, a głowy ciążyły coraz bardziej. Czas począł zwalniać, lenić się i wzbraniać przed swym nieśmiertelnym pędem, by w końcu stanąć na moment i wytchnąć choć przez krótką chwilę. Cały świat znalazł się pod wpływem czaru. Wtem niezauważalny, ledwo przedzierający się przez żar ogniska chłód zdawał się zbawienny i kojący, jak najwyszukańsze z lekarstw tutejszych zielarek.

Bębny ucichły, uderzając w rytm bijących w piersiach serc, a struny gęśli zmieszały się z nadzieiorną harmonią. Lekkiemu muśnięciom palców muzycy łagodzili silny wpływ piołunowego dymu. Żerca usiadł na bukowym pniaku tuż poza kręgiem dziewcząt. Te zaś zbliżyły się do drobniejącego ogniska, po czym chwyciły się za ręce.

W takt unoszącej się na północnym wietrze melodii tańczyły boso na wilgotnej, nieznającej snu trawie. Czerwone, zawieszane na ich młodocianych, bladych szyjach jarzębiny podskakiwały coraz wyżej, odbijając się od piersi dziewcząt, w miarę jak taniec ewoluował.

Nieuczestniczący w rytuale Wendowie przyklaskiwali z radością w rytm rozpędzającej się muzyki. Co poniektórzy wyjmowali napęczniałe bukłaki, inni odkorkowywali gliniane dzbanki, a wewnątrz tak jednych, jak i drugich wypełniały złociste miody lokalnych barci. Natomiast ci włościanie, którzy spragnieni byli orzeźwienia, stawiali do pionu beczułki schłodzonego piwa. Zaraz potem kilka starszych par zatańczyło między zapatrzonymi w rozsławiane niewiasty sąsiadami. Zauważywszy bawiących się seniorów, muzykanci zagrali radośniej, weseląc się razem z nimi. Wszystko to dopełniły skaczące jęzory płomieni, w które z tajemniczym błyskiem w oczach wpatrywał się wciąż siedzący na pniaku kapłan.

Starosta tutejszego opola, to jest wszystkich przynależnych do grodu Żagle ziem, wyszedł dumnie z tłumu. Odziany w lśniącą biel i pochłaniający światło błękit, oburącz niósł owinięty cisowymi gałązkami, gruby kij. Wskazujący niebo szpikulec obwiązany był zamoczonymi w drzewnej smole włosami lnu. Kiedy włodarz podszedł do ogniska, włożył łuczywo w płomień, po czym uniósł żarzącą się pochodnię ku nieśmiertelnym gwiazdom. Fir-

mament jak co rok był tej nocy bezchmurny. Od żaru niesionego przez książęcego zarządcę rozpalono pozostałe lampy, które white co kilkanaście kroków w ziemię utworzyły rozpalony świętecznym ogniem gościniec.

Dziewczęta po zapaleniu ostatniej z pochodni podbiegły do swoich dumnych rodzin, by odebrać z rodzicielskich rąk udekorowane wianki. Zwyczaj nakazywał, aby młode niewiasty plotły w przeddzień kupalnej nocy wieńce z polnych kwiatów i nasiąkniętych czarami ziół. Wielobarwne wianki Wenedek były istotą święta miłości.

Wróciwszy do ognia, młódki ustawiły się w rzędzie naprzeciwko Barnima – tutejszego starosty. Następnie wyciągnęły w jego stronę ręce pełne różnorodnych stroików, a w każdym z nich wpięte było niewysokie łuczywo. Książęcy namiestnik z najwyższym honorem i powagą dzielił się świętym ogniem ze swej owiniętej cisem pochodni. Stojący za najbliższymi rodzinami Wendowie widzieli jedynie niesione przez młódki płomyki, jak gdyby wisiały one w powietrzu, bądź brały swe źródło w młodzieńczych, zaklętych dłoniach. Nie dostrzegali różnobarwnych kiści wieńców, drżących palców, ni toczącej się pod piersiami walki z niepokojem.

Nie minęła chwila, gdy niewiasty ustawiły się gęsiego w parach za prowadzącym ceremonię starostą, który dzierżąc ogień wysoko nad głową, rozpoczynał pochód. Muzycy przestali grać, pogrążając Jezioro Mewie i przylegające doń niziny w – zdawałoby się niezdatnej do zma-

nia – ciszy. Na moment zawładnęła ona ludźmi, drzewami, ptactwem pośrodku toni, a nawet dmącym od południa powietrzem, wdzierając się głęboko w umysły i pod grubą korę. Głusza opadła na okolicę, przygniatając wszystko w zasięgu wzroku swym ciężarnym brzemieniem.

Na ratunek przybyły dopiero starowinki, które nucąc ceremonialną pieśń, odeгнаły czyhające za granicą światła złe moce, torując Wendom drogę do radości. Wychwalały Kupałę, boginię miłowania, a po chwili zadumy dołączyli do nich pozostali włościanie. Przy długich, kołyszących się dźwiękach parada ruszyła w kierunku Jeziora Mewiego. Dziewczęta odziane w odbijającą gwiazdy biel same podśpiewywały z gorliwością, pomimo zaciśniętych od emocji gardeł. Pochód niczym wijąca się żmija powoli wpełzał w chłodną, błyszczącą taflę jeziora. Trzcিনowe szuwały falowały na lekkim wietrze południa, który zaprzęgnięty w niezłomnego Jugira grał na ich szumie niepowtarzalne akordy.

Po ciepłym, miękkim dnie grupa przesuwała się ku zmaconej toni. Jezioro nie było głębokie, sięgało podszytym lękiem dziewczynom zaledwie do bioder. Brnęły one coraz dalej w głębiny, a każdy kolejny krok oddalał je od znajomych głosów, od wpatrzonych w nie oczu, od bezpiecznego ładu. W gęstniejącym mroku wodziły wzrokiem, szukając ognistego przewodnika – cisowej pochodni starosty. Dotarłszy do włodarza, młódki ponownie ustawiły się w kręgu, jak parę chwil wcześniej przy ognisku, i z

płomykami w dłoniach, zanurzone do połowy w chłodnej toni okrążyły trzykrotnie mistrza ceremonii.

– Niech błogosławi was ogień. Niech błogosławi was woda – przemówił Barnim.

Po tych zaklętych słowach dziewczęta położyły swe kwieciste wianki na lustrze jeziora. Migoczące na tle ciemnej tafli, powierzone wodzie wieńce wiatr znosił leniwie w kierunku północy. Kiedy już wszystkie wiązanki odpływały urokliwie od grupy lśniących na tle czarnej toni niewiast, starosta zanurzył pochodnię, pochłaniając Wenedki w ciemności. Wielki płomień Cieniowita zgasł. Z brzegu widoczne były jedynie dryfujące ogniki i brodzące, zanurzone do połowy blade postacie. Jakby topielice wynurzały się z dennego mułu, by porwać uczujących nad brzegiem włościan, a płomyki były wyłącznie pozostałością ich człowieczeństwa, pamiątką kuszącą nieostrożnych przechodniów.

W tym momencie do wody wskoczyła grupa młodzieńców. Mącąc lustro czarnego jeziora, próbowali czym prędzej dotrzeć do puszczonego wianków, by pochwycić ten szczególny. Chłopcy ci, niektórzy w porozumieniu z dziewczętami, inni liczący na łut szczęścia, wyławiali wieńce tak, aby ich kwiatów i ziół nie liznęły płomienie tkwiących w ich wnętrzu łuczyw. Każdy, któremu udało się wyłowić świąteczny stroik, wracał zmoczony na kraj jeziora i unosił zdobyczną wiązanekę.

Rozpoznawszy swój wianek i zgodziwszy się na śmiałka, który wyrwał go ciemnej toni jeziora, panna

chwyciła młodzieńca za dłoń. Mawiano, że to przeznaczenie łączyło ich w pary, że to sprawka boskiego Roda, bądź jego cór Rodzanic, i takiego związku nie wolno było rozpruwać pod żadnym pozorem. Niestety nie wszystkie kiście udawało się wyłowić. Niektóre z nich płonęły, liźnięte zazdrosnym płomieniem, inne gubiły się w gęstwinach trzciny i gasły przykryte falą, a były i takie, które po prostu nie znajdowały chętnych. Złośliwi mawiali, że dziewczęta, które je splotły, czekało staropanieństwo. Życzliwi twierdzili jednak, że jeszcze nie nastał po prostu ich czas, i że następna okazja nadarzy się już w przyszłym roku.

Gdy na brzegu młodzi łączyli się w pary, a uratowane wieńce okoliły drżącą toń jeziora, rozbrzmiały huczne brawa zgromadzonych Wendów. Żerca powstał w końcu z bukowego pnia.

– Czas świętować! Niech starsi rozpoczną zabawę! Młodzież zaś niechaj uda się w poszukiwania perunowego kwiatu! Święty Gaj stoi dziś dla was otworem, a gromowładny pan nasz ukrył pożądanie wśród niezłomnych paproci! – oznajmił.

Tłumy Wendów z całego opola skierowały się ku namiotom tworzącym rozległy festyn. Stoły były syto zastawione pieczywem, rybami złowionymi za dnia w Jeziorze Mewim, przepiórczymi jajami i owocami tutejszych sadów. Z kasztelańskich piwnic starosta przywiózł radośnie chlupoczące beczki piwa, a miodosytnicy częstowali sąsiadów swymi bursztynowymi napitkami – złotym nek-

tarem Windei. Dumne gospodynie rozstawiały swe wiodące przysmaki i tak Wendowie zaczęli świętować.

Wierzono, że Święty Gaj,znaczony przez kosmicznego Cieniowita, jest domem wielu dzikich mocy, z których jedno można było prosić o pomoc, drugich zaś trzeba było unikać jak żywego ognia. Jedne litowały się nad śmiałkami, drugie pożerały nierozważnych. Jednak okoliczni mieszkańcy zwracali tu swe myśli dla jeszcze jednego mieszkańca tej puszczy. Jej serce biło bowiem bożym blaskiem, a między rosnącymi w głębi drzewami przemykał błogosławiony szept mnogich bogów. W razie potrzeby schodzili oni z białego grodu, by poświęcić chwilę swego nieśmiertelnego czasu pokornym wiernym.

To właśnie stąd Wendowie otrzymywali zbawienne deszcze podczas długich upałów i słońce po tygodniach szarugi, tutaj pokornie błagano o potomków, i tu opłakiwano zmarłych. Święty Gaj był niczym surowy rodzic – z jednej strony go miłowano, z drugiej zaś nie wazono się mu przeszkadzać z byle powodu.

Zaklęty las budził respekt u wszystkich mieszkańców opola. Nocami przypominał mur upiornej fortecy, za którą kryją się nieopłakane wciąż dusze, a po przekroczeniu jego bram w oczy zaglądał nieprzejrzany cień. Zdawało się, że uzbrojone w widmowe bronie mary zbliżają się do śmiałków, łamiąc po drodze gałązki, dmuchając w pochłaniające światło liście i skrobiąc trupimi pazurami

po korach starych drzew. Jednak w tej chwili zgrozy wkra-
czającym do gaju rysował się zgoła odmienny widok. Za-
miast koszmarne napadu, lekki, królujący nad koronami
powiew przywraçał delikatny szmer listowia, a wszystkie
inne hałas cichły tak szybko, jak przybyły.

Oczom Wendów ukazywały się brzeziny, które pod-
nosiły swe starcze, skryte pod płaszczami mchu głowy z
podmokłych ziem, by resztką sił przypatrzyć się kolejnym
zuchwalcom. Między kolumnami bieli pięły się ku nie-
bu potężne wierzby, a ich tańczące warkocze błyszczały
od wieczornej rosy, jakby same drzewa wplotły je w swe
gałązki, by dodać sobie uroku. Po nielicznych z tych mil-
czących olbrzymów, niczym schodki maleńkich domostw,
wspinały się olbrzymie boczniaki, a runo u ich pajęczych
stóp ścieliły grzyby tak szlachetne, że niejeden poszuki-
wacz dałby się za nie pojmać. W głębi Świętego Gaju leśne
kapelusze ustępowały rosnącym gromadnie zawilcom. Dy-
wany białych kwiatów lśniły blaskiem księżyców, jak gdy-
by w środku lata ktoś zrzucił z chmur śnieżną pierzynę,
a wszystko to dopełniał kuszący zapach mnogich barci,
których miody, niczym rzeki widziane ze wzgórza, wiły się
swym słodkim korytem po prastarych pniach.

Tej szczególnej nocy Święty Gaj gościł młodych za-
kochanych. Trzymające się za ręce, roześmiane pary błę-
dziły po puszczańskich mokradłach w nadziei odnalezie-
nia zaklętego kwiatu paproci. Legendy głosiły, że roślina

ta skrywała w sobie potężną moc, a szczęśliwiec zdolny ją tknąć, tylko tyle wystarczyło, nazajutrz obdarzany był przez Dolę niezmiernym bogactwem.

Kiedy oczarowana opowieściami młodzież pytała starców o to, jak rozpoznać ów kwiat, ci z zamkniętymi oczyma, jakby wciąż pamiętając jego mieniące się płatki, odpowiadali z nutą tęsknoty, że jest tylko jeden taki, że odbija rozgwieżdżone niebo niczym lustro, i że śpiewa głosem tak wspaniałym, iż – zdawać by się mogło – jest domem tysięcy talentów. Skarb gromowładnego Peruna był jednak bardzo nieśmiały i wolał przeżyć swoją krótką chwilę w samotności, nucąc rzewne pieśni wśród niemych sąsiadów. To dlatego tak trudno było go odnaleźć.

Eleonora ciągnęła swojego wybranka za rękę głębiej, i głębiej w pradawny las. Jej kasztanowe włosy falowały wśród liści tańczących koron wierzb. Biegła boso, nie zważając na powalone przed wiekami konary. Mijali drzewa, szumiące trawy i roześmianych rówieśników tak długo, aż w końcu nie zostali zupełnie sami. Ciemność pchnęła ich w swoje ramiona, a ciszę przerywało tylko dyszenie zakochanych w sobie młodzieńców.

– Spójrz, zaklęta paproć! – krzyknął Isdariel.

Dziewczyna zerknęła zaciekawiona w stronę, którą jej wskazał, a kiedy próbowała dostrzec jakiegokolwiek światło wśród gajowej czerni, chłopak chwycił ją za biodra i pewnie, choć ostrożnie, obalił na leśne runo.

– Stary Przybor powiedział mi kiedyś, że Święty Gaj

pełen jest duchów, które kiedy napotkają zakochanych w lesie, łaskoczą ich straszliwie, dlatego tyle dziś w nim śmiechu! – zażartował, wbijając palce w boki ukochanej.

Eleonora krzyknęła i zgięła się w pół, chcąc umknąć z muskających ją objęć. Nagle coś usłyszeli. Jakaś postać kroczyła między wiekowymi pniami, budząc ze snu prastare brzozy. Oboje ucichli i znieruchomieli, by po chwili pojąć, że to tylko kolejna, błędząca po puszczy para. Uświadomiwszy to sobie, wybuchnęli śmiechem, po czym spojrzeli sobie w oczy, tonąc w ich blasku pośród nocnego pomroku.

– Znam pewien czar – szepnęła dziewczyna. Nie odrywając wzroku od ukochanego, sięgnęła ręką po pęd nad swoją głową, zebrała z niego lśniąca, wieczorną rosę, a następnie zaczęła wcierać ją w swą bladą, mokrą od jeziornej wody skórę.

*Kwiatów wiele, ziela wiele,
Rwę cię śmieie,
Pieszczą palce, mokrą dłonią,
Niech się chłopcy za mną gonią.
Po stodole, po oborze,
Pomóż, perunowy boże.*

– Nie musisz rzucać na mnie zaklęć, żebyś cię miłował – odparł Isdariel.

Lewą ręką przysunął wybranek do siebie. Prawą zaś zdjął z jej szyi jarzębinowe korale i rzucił je na krzew ro-

snący nieopodal. Przybliżywszy swoją twarz do Eleonory tak, że poczuł na sobie jej drżący, ciepły dech, zajął w głąbiny jej oczu i, tonąc w nich niczym w morskiej otchłani, musnął wilgotne usta ukochanej.

Dziewczyna podniosła głowę z nagiej piersi Isdaria. Podniosła się ospale, poderwała z ziemi białą suknię i pomału, nie śpiesząc się wcale, jakby chciała tu zostać na zawsze, włożyła ją przez głowę. Chłopak wsparł się na łokciach i, nie mogąc oderwać wzroku od Eleonory, pławił się w każdym jej ruchu. Wyglądała niczym królowa lasu, niczym odzwierciedlenie jego wrażliwości, które nieme tańczy pośród mchów i pni.

– Pora wracać. Myślę, że znaleźliśmy swój kwiat paproci – powiedziała młódka, chwyciła wybrankę za spoczną dłoń, by po chwili ruszyć z powrotem w stronę Jeziora Mewiego.

Krok za krokiem gwar zabawy narastał, a zakłęta ciemność puszczy nikła w złocistej łunie festynu. Mimo bliskości północy cała okolica jaśniała od rojnych ogników setek lamp. Młodociane pary wracały pomału z poszukiwań perunowego kwiatu. Ku zakochanym prędko podbiegali chwiejący się na nogach rodzice, po czym, śmiejąc się wniebogłose, wręczali im ceremonialne pnącza bylicy. Przepasali nimi zawstydzoną młodzież ku uciechu pozostałych Wendów, którzy śpiewali przy tym głośno, klaszcząc mniej zgrabnie.

Wtulone w siebie, połączone zaklętym zielem pary, aby dokończyć święty rytuał, musiały przeskakiwać nad niskimi już płomieniami ogniska. Wierzono bowiem, że komu powiedzie się przebrnąć nad płomiennym stosem bez uszkodzenia bluszczu, temu sądzone jest trwać w szczęściu i dostatku. Zabawie i śmiechom nie było końca. Co odważniejsi młodzieńcy, przeskoczywszy z wybranką nad paleniskiem, całowali ją przy wszystkich, jakby na znak zbliżającego się małżeństwa.

Kiedy wszyscy młodzi wrócili już ze Świętego Gaju, znużony ciężarem wieku źerca powstał z bukowego pnia, na którym wolał spędzać noc w samotnej zadumie niż wśród gwaru zabawy. Czujny przez cały wieczór starosta Barnim uniósł ręce ku niebu, a następnie wskazał nimi leciwego guślarza, czym uciszył rozradowanych Wendów.

– Na naszych oczach nowe pokolenie zakończyło próbę ognia! – krzyknął z trudem kapłan. – Pora więc rozpocząć ostatni rytuał! Nasze jezioro gotowe jest na waszą kąpiel! Wszyscy dobrze wiemy, że przed Kupałą kąpać się nie godzi! W wiosennych wodach czają się bowiem porywające śmiałków wodniki oraz mieszające młodzieńcom w głowach topielice! Oby nasze piękne niewiasty swym obmyciem oczyściły ze złych mocy wszelką wodę Windei!

Roześmiane dziewczęta jak na komendę wbiegły wspólnie do Jeziora Mewiego. Niektóre, trzymając się za ręce, wskakiwały czym prędzej w głębokie wody, ochlapu-

jąc się nawzajem. Inne zaś powoli wstępowały do mroźnej toni, chcąc zapisać tę chwilę w swej pamięci, bądź dlatego, że chłód wdrapywał się po plecach aż do głowy. Wtem wybuchły brawa. Młodość przeganiała stare, kryjące się u dna zło, a to oznaczało, że wszystko, jak co roku, zatoczyło swe nieśmiertelne koło. Kiedy pogodne, ociekające wodą młódki wychodziły na pokryty trzcinań brzeg, żerca po raz ostatni wyprostował się i oznajmił chrapliwym głosem:

– Przyszła Kupała! Kąpiel jest bezpieczna! Moi drodzy, nadeszło lato!

Mimo że zabawa wciąż trwała i koniec jej zdawał się nigdy nie nadejść, zmęczony świąteczną wrzawą kapłan pożegnał Wendów, po czym skierował się z powrotem do serca Świętego Gaju, gdzie mieszkał. Ciemność mu nie przeszkadzała, drogę tę znał bowiem doskonale. Chadzał nią codziennie od niespełna czterdziestu lat. Każdy wystający ze ścieżyny konar, każde źdźbło trawy, każdy opadły na ziemię liść były mu rodziną, o którą dbał bardziej, aniżeli o tę prawdziwą, której oblicza niemal już zamazało zapomnienie. Żerca pielęgnował jedynie prowadzącą do świątyni aleję, która wiła się wśród rozległych trzęsawisk, które co jakiś czas podmywały ją od obu stron. Reszta lasu nie należała bowiem do Wendów i niegodnym ludzkiej ręki było nawet rwanie tutejszych chwastów. Gąszcz rósł więc dziko i gęsto, dając schronienie spłoszonej wrzawą nocnej zabawy zwierzynie.

Starzec dotarł w końcu do niskiego, drewnianego płotu ze zbutwiałymi drzwiczkami. Ogrodzenie postawiono, aby wierni mogli rozpoznać świątynną, chronioną zakłęciami ziemię, gdzie przybywali bogowie, i gdzie wysłuchiwali próśb pokornych wyznawców. Przy furtce droga się rozwidła, skręcając delikatnie w lewo. Tam ginęła wśród zarośli, prowadząc do Cieniowita – świętego dębu.

Kapłan uchylił nadpsutą furtkę i wcisnął się na znane sobie poletko. Szedł brukowanym, zamszonym gdzieś gdzieś chodnikiem ku ciężkim, drewnianym drzwiom. Wślizgnął się do chramu, z trudem zatrzęsął wysokie od-rzwia, po czym odetchnął pełną piersią, jak gdyby nieme posągi zwróciły mu utracone w wieczór siły. W kącinie pannaował gęsty mrok, jednak źerca znał budynek jak własną kieszeń. Powolnym krokiem podszedł do szóstego bałwana z lewej strony, klęknął przed jego surowym obliczem, a następnie u jego stóp złożył biały kwiat goździka, który znalazł przy Jeziorze Mewim podczas festynu.

Wzrok guślarza przyzwyczajął się do świątynnej ciemności. Z lekką niepewnością spoglądał na lico wyryte w ciemnej dębinie. Poważne, pozbawione uczuć lico młodej kobiety zerkąło niezmiennie na palenisko pośrodku sali. Bosa, w cienkiej sukni, zdawała się przewidywać przyszłość, jakby drewnianymi oczyma zerkąła w nią spod opadających jej na piersi jarzębinowych koralii.

Kapłan, wyczuwając niepokój między ścianami świątyni, ostrożnie przysunął swą pomarszczoną dłoń do

boskich nóg, a im bliżej się znajdowała, tym wyraźniej dobiegały doń strzelające płomienie. Gdy więc już miał dotknąć dębowych kończyn, hałas urósł do takich rozmiarów, jak gdyby za ścianami kąciny szalała straszliwa pożoga.

Kobięcy szloch przebiegł przez wnętrze chramu. Stary guślarz poczuł na własnej skórze wzmagający żar, a jego serce przeszła rozpacz tak gęsta, iż sama myśl o jej zrzuceniu przypawiła go o dreszcze. Przerażony dotknął w końcu Kupały. Jego oczom ukazało się morze ognia, które swymi świetlistymi falami pożerało chaty, pola, zwierzynę i ludzi. Czarny dym gromadził się nad Windeą.

Żerca odwrócił głowę. Spojrzał ku południu, gdzie niebosiężny, czarny łeb wychylał się zza niktącego horyzontu. Wtem kapłana dobiegł narastający ryk, od którego brzmienia zadrżała pod stopami ziemia. Straszliwe wycie rosło, i rosło, zalewając świat swym gniewem. Nawet ptactwo uciekało z tamtych stron po ciemnym niebie, zlewając się z czarnymi wyziewami ognistego morza.

Grzmienie przebudzonej bestii wdarło się w głowę guślarza, gniotąc ją prawdziwym bólem. Starzec z trudem oderwał dłoń od posągu i, dusząc się w nagromadzonym w chramie dymu, padł przerażony na ziemię. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu pożogi, jednak wciąż otaczała go wyłącznie ciemność. Żaden ogień nie wdarł się nawet na skraj Świętego Gaju. Wtem na żercę padło ciężarne znużenie, strącając jego przytomność w pozbawioną dna przepaść.

ROZDZIAŁ I

Swadźba

Zaprzęgnięty w czarnego jak węgiel konia wóz toczył się powoli po wiejskiej drodze. Żar lał się z nieba, a choć morze znajdowało się niespełna godzinę drogi stąd, jego chłodząca aura nie miała tyle sił, by przedrzeć się aż tutaj. Obładowana skrzyniami bryczka ciągnęła się mozolnie, mijając uginające się od dojrzałych owoców sady, srebrzyste łany żyta i złociste pola pszenicy, które jakby imitując pobliski bezmiar wód, kołysały się na podobieństwo spienionych fal.

Okolicę wypełniały wonie zbóż i królującej tu sośni-ny, a gdy wiatr wznosił je lub przygniatał do sypkiej ziemi, wtedy w nozdrza uderzała słona bryza północy. Kurz wzbijał się ku błękitnym niebiosom za furmanką, na której leżał mężczyzna odmienny od Wendów. Choć dorodny wąs wskazywałyby na jego tutejsze pochodzenie, reszta wyglądu diametralnie różniła się od lokalnej mody. Głowę przystrzyżoną miał do łysa, a jego ciało pokrywały ciemne, podskórne malunki, na których konie to gnały przez rów-

niny w cwale, to stawały dęba, to wreszcie kładły się do snu po wiecznej przejażdżce przez Złoty Step.

Człowiek ten wywodził się z Nurgaru – krainy położonej daleko na południu, za Krępyimi Górąmi. Wpatrując się w bezchmurny firmament, przygrywał towarzyszowi na lirze pieśń opowiadającą o łupieżczej wyprawie jego krajanów. Woźnica zaś ze spokojem rozglądał się po znajomych z przeszłości ziemiach. Gładko przystrzyżona twarz, jak nakazywał zwyczaj w zamkach środkowej Winda, jaśniała między kruczoczarnymi, opadającymi mu do ramion włosami.

Dragomir wyróżniał się od tutejszych włościan pod wieloma względami, ale największe wrażenie na pracujących w polu Wendach robił wiszący przy pasie rycerza miecz. Wykuty w zamkowej kuźni lśnił przy każdym najmniejszym spotkaniu z blaskiem prażącego słońca. Wystarczyło jedno spojrzenie, by domyślić się, jaki gość przyjechał z wizytą do nieznaczącego wiele opola.

Kara klacz dobrze wiedziała, dokąd ma ciągnąć wóz, i choć nie było jej w tych stronach od wielu lat, to na rozstaju dróg bryczka skręciła delikatnie ku południu. Jadąc prosto, dotarłoby się bowiem do majątku starego Przybora, którego Dragomir traktował ongiś z czią równą własnej rodzinie. Sąsiad ten często przebywał za dawnych czasów w domu Wenda, pomagał w malowaniu zagrody, a nawet kilkukrotnie użyczył pomocnej dłoni przy żniwach. Niedysiejszy przyjaciel zamknął się jednak w swym domu i

nie wychylał zeń nosa od czasu tragicznego pożaru, który odprowadził rodziców Dragomira pod bramy białego grodu.

Stara, zmęczona chabeta przystanęła w cieniu przydrożnej, pamiętającej dawne dzieje lipy. Woźnica zeskończył na ziemię, przeciągnął zdrętwiałe nogi i podszedł do konia.

– Poznajesz nasz dom? Za tymi łąkami rośnie ostatnie na naszej trasie żytnisko. Tam znajdziesz wypoczynek, Madrygo – pocieszył kobyłę, drapiąc ją po boku, a ta, jakby rozumiejąc jego słowa, zatrzęsła uszami, zarżała i po krótkiej przerwie, jakby nie mogąc doczekać się celu, ruszyła dalej.

Dragomir wskoczył z powrotem na bryczkę, puścił wodze i z beztroską wypatrywał rodzinnej zagrody. Już po krótkiej chwili zaczęła się ona wyłaniać zza siwego morza zbóż. Wysoka jabłoń pięła się dumnie pośrodku podwórza, machając przybyszowi swymi zielonymi owocami na powitanie. Czyżby mnie poznawała? – dziwił się rycerz, wspominając niegdyś na nią wspinaczki. U jej korzeni wystawała zaś niewielka studnia z przekrzywionym od lat żurawiem, z której podczas jesiennych wieczorów wyławiał dojrzałe, niemal purpurowe jabłka.

Nagle furmanka stanęła, wyławiając zanurzonego we wspomnieniach Dragomira. Tutaj droga się kończyła. Wend z bijącym w piersiach sercem wpatrywał się w świeżo pomalowaną, błękitną chatę. Nic się nie zmieniła, po-

myślał. Zerknął następnie na słomiany dach i murowany, wyrastający zeń komin, jakby przyjechał tu na oględziny. Dopiero po chwili, wciągając nosem zapach palonych, sosnowych drewn, otrząsnął się z narosłego przez lata lęku i zeskoczył na ziemię.

Ciągnął wzrokiem dalej, ku maleńkiej stajni i szerokiej stodole, którą wciąż wypełniały ostatnie snopy zeszłorocznego siana, aż w końcu utkwiał oczy w ukrytych na tyłach zagrody krzewach agrestu, zielonych i błyszczących niczym podniebny Kwar. Za nimi ciągnęły się rozbujane pola pszenicy, które sięgały błękitnego w oddali horyzontu, gdzie rzędy młodych lip spijały wody rdzawego strumyka. Tu niegdyś był jego dom.

W drzwiach chaty, w samych spodniach, stanął spodziewający się gości Isdariel. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Bez zwłoki rzucił się w objęcia brata. Trwali tak w mocnym uścisku, chcąc odzyskać utracone wspólnie lata.

– Zaproszenie do ciebie dotarło! – radował się gospodarz.

– Nie mógłbym opuścić twojego ślubu. Pozwól, że przedstawię ci mojego najwierniejszego przyjaciela. Oto Sador, dzielny wojak i doświadczony podróżnik – mówił Dragomir, kładąc dłoń na barczystym ramieniu kompana.

– Zapewne jesteście głodni po tak długiej podróży. Chodźcie do środka. Jak minęła wam droga?

– Złe wieści krążą po Windei, lecz nie czas teraz na

niepokój. Kto się żeni, ten się żeni! – krzyknął, odczepiając Madrygę od wozu. Ta, także będąc u siebie, wbiegła czym prędzej do maleńkiej stajni, gdzie od razu doskoczyła do swej gniadej siostry – Swadrygi.

– Rad jestem, że to mnie wybrałeś swoim swatem, braciszku – ciągnął Dragomir. – Pokaż proszę Nurgarowi, czym jest sławna gościnność Wendów!

Wszyscy trzej wkroczyli do niewysokiej chaty. Zraz za wejściem, po lewej stronie maleńkiej sieni mieściła się kuchenna izba, w której kącie, nad kamiennym piecem gotował się gar gęstej grochowej zupy. Szerokie snopy pełnego słońca wkładały się do wnętrza przez wysokie, wychodzące na podwórze okno, rozświetlając przestronny pokój kojącym blaskiem dnia. Strugi światła ciekły z nieba na ciężki stół z buczyny i towarzyszące mu nadgryzione zębem czasu krzesła.

– Przynieś miodek z poddasza! – rzekł Isdaniel do znajomego dom brata i zanim wrócił on z butelką bursztynowego nektaru w dłoni, gospodarz nalał gęstą zupę w gliniane misy.

W tym czasie Sador z palącą ciekawością podziwiał wnętrze błękitnej chałupy, jakby przez wszystkie lata spędzone w Windei nigdy w takowej nie był. Po chwili cała trójka usiadła do stołu, by bez słów zaspokoić strawą głód.

– Dzięki bogom za stworzenie pszczoł! – zaczął Dragomir, popijając miód co parę słów. – Kilka księżyców temu, w połowie brzezenia, ksiązę Jaromir posłał mnie z misją

do Raderu. Mój szlak biegł nieco ponad dziesięć staj od podnóża Bliźniaczego Grzbietu, więc nie omieszkałem się nań wspiąć, by tam podziękować bogom za lekkość, jaką podszyli mój żywot. Nie uwierzysz jak wielkie było moje zdumienie, gdy zbliżywszy się do bałwanów na szczycie, moim oczom ukazał się niewielki amulet. To podarek, pomyślałem, a gdy po powrocie do Taloru otrzymałem twoje zaproszenie, wiedziałem, że jest ci on przeznaczony. – Spod przewiewnej koszuli Dragomir wyciągnął drobny, niewiele większy od łupiny orzecha pakunek. – Oby w pogodne dni przynosił ci pomyślność, a w ponure przypominał o beztrosce dawnych dni – rzekł, wręczając prezent w spracowane dłonie brata.

Isdariel z niepohamowaną radością rozerwał papier, chwycił za srebrny naszyjnik i uniósł go nad stół. Kłyszający się amulet miał kształt topora, a jego ostrza ozdobił kolisty znak ognistego tronu praojca. Blask Wiecznie Płonącego Słońca migotał z każdym ruchem talizmanu, jakby w błękitnym domu mrugało nieśmiertelne oko Swaroga.

– Oto swarzyca – wiecznie gorejący ogień. Noś ją codziennie na sercu, a pan Maldessaru, boski książe, będzie miał cię w swojej opiece.

Eleonora wyglądała przez okno, którego jasna framuga zlewała się z bielą obrośniętego słonecznikami domu. Był to ostatni dzień panieństwa młódki, ostatni dzień spędzony we własnym pokoju. Z podzielonym na

dwie połowy sercem czekała na przyjaciółki, aby wspólnie z nimi pożegnać swą niezamężność.

W końcu usłyszała nadciągający orszak dziewcząt. Natłok myśli uleciał, uwalniając pannę młodą z niewidzialnych okowów rozterki. Eleonora uśmiechnęła się na ich widok, lecz w szczególności balsamem dla jej trosk była prowadząca grupę Wanda – jej siostrzana dusza. Już od najmłodszych lat, odkąd sięgała pamięcią, wspólnie kroczyły przez życie, wspierając się we wszystkich niemal boleściach dzieciństwa.

Roześmiane dziewczęta wbiegły na przystrajane przez gospodarzy podwórze. Otwarta na wylot stodoła tonęła w śnieżnobiałych serpentynach i barwnych, falujących na wietrze wstążkach. Długie, nakryte suknem stoły już czekały na gości, a kiedy niecierpliwa bryza swym słonym tchem zapraszała do tańca wyhaftowane obrusy, te, jakby nie mogąc doczekać się zabawy, kłaniały się jej chabrowymi wyszywankami.

– Proszę was, aby moja córka wstała jutro z łoża o własnych siłach! – krzyknął do przybywających drухen stojący na drabinie Lubomir.

Dziewczęta przytaknęły niepewnie, choć żadna nie potrafiła ukryć błysku w oczach.

– Dzień dobry i panu! Niech się pan o to nie martwi! Odstawimy ją w jednym kawałku! – odrzekła mu Wanda, po czym rozradowane wbiegły po skrzypiących schodach na piętro białego domu.

Eleonora siedziała przed lustrem zakurczonym od polnego pyłu. Przyjaciółki wyglądały dyskretnie przez okno i zamknęły drzwi izby na klucz. Wtem Wanda spod swej poziomkowej sukienki wyciągnęła butelkę wiśniowej nalewki. W promieniach bezlitosnego w tym roku słońca dało się dostrzec wirującą w likierze słodycz.

Po bliższym poznaniu się z trunkiem dziewczęta zaczęły pleść kasztanowe włosy Eleonory w warkocz. Wszystkie naraz zasypywały ją pytaniami o to, jak się czuje, czy dojrzała do tak wielkiej decyzji, co mówią o tym jej najbliżsi, a przede wszystkim, czy jest gotowa spędzić resztę życia ze swoim wybrankiem. Wszystkie dobrze znały Isdariela, bo tutejsze opole było niewielkie, lecz ciekawość i wyjątkowość chwili brały górę. Eleonora zaś z wyjątkowym spokojem odpowiadała na wszystkie pytania długo i szczegółowo, czerwieniąc się czasami to przez krępujące pytania, to przez moc wiśniowej nalewki.

Druhny, nucąc pod nosem skoczną melodię, przystrajały jej warkocz polnymi kwiatami bieli i błękitu – barwami Zachodniego Parsanu, czyli księstwa, w którym przyszło im żyć. Ozdobiwszy w końcu kłos kasztanowych włosów, przykryły go długą chustą, po czym dopiły resztę bordowego likieru.

– Gotowe! Czas na ostatnią zabawę pannic! – zawołała rumiana na twarzy Wanda.

Dziewczęta wybiegły z białego domu, minęły podwórko i udały się nad pobliski strumyk, do wierzbowej

gęstwiny, gdzie w towarzystwie szmeru rzeczułki najczęściej spędzały wolny czas. Tam wyczekiwały ich pozostałe koleżanki, a co poniektóre na widok panny młodej odkorkowały podebrane rodzicom napitki. Wszystkie przeżywał dreszcz niepewności, wszystkie czekały na rozpleciny, bowiem Eleonora była pierwszą od lat w całym opolu, która szykowała się do zamążpójścia.

Purpura poranka wlała się do izby, wypełniając ją bladym światłem jutrzeńki. Nastął ten szczególny dzień, choć jego początek nie zwiastował pomyślnej przyszłości. Ciężka, pulsująca głowa dawała się Eleonorze we znaki. Minęła dłuższa chwila, nim otworzyła oczy, zerknęła na pogodne niebo i przeciągnęła się leniwie we własnym łóżku. Był to ostatni poranek, kiedy leżała pod kołdrą sama.

Wstała z łoża razem z Wiecznie Płonącym Słońcem, zeszła ciężkim krokiem na dół, po czym chwyciła za blaszany, przygotowany dla niej kubek. Studzienna woda wciąż skrywała w sobie chłód minionej nocy, a jej orzeźwiający smak nieczęsto koił pragnienie tak, jak w tym momencie. Był niczym spływające od boskich bliźniaków lekarstwo.

– Dzień dobry, kochana! – zawołała na jej widok niska matka. – Przygotowałam dla ciebie kąpiel. Dajcie, bogowie, aby ci ulżyła! I pamiętaj o chustce! – krzyknęła za niknącą w sieni córką.

Schowawszy się za drzwiami, przerażona Eleonora upewniła się, że okrycie włosów wciąż znajduje się na swo-

im miejscu. Tradycja nakazywała bowiem trzymać wystrojony warkocz w ukryciu przez cały dzień przed swadźbą, dlatego nawet wchodząc do drewnianej balii, panna młoda tawiła kłos pod cienkim materiałem. Zbawienna kąpiel zrzuciła z jej ramion ciężar wczorajszości.

Po skromnym śniadaniu – jedynym posiłku do czasu uroczystego wesela – Eleonora z pomocą wprawionej w zachwyty matki ubrała się w lnianą koszulę, suknię barwy lipcowego nieba oraz atłasowy gorset. Skrywszy nogi pod haftowanymi w polne kwiaty pończochami, dziewczyna włożyła trzewiki z cholewkami, a dumna rodzicielka zarzuciła jej na szyję korale z ciemnego bursztynu – rodzinną pamiątkę, którą kobiety przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie.

Gotowa do ożenku Eleonora siedziała na krawędzi własnego łóżka, próbując zapamiętać każdy detal swojego pokoju. Dopiero teraz poczęło do niej docierać, że nadszedł czas pożegnania z całym dotychczasowym życiem. Trwoga zagościła na jej twarzy. Nic nie będzie już takie samo, powtarzała w myślach. Zmieszana czekała w milczeniu, wpatrując się nieobecnie w okno i to, co za nim. Wiedziała, że to tylko krótka chwila wytchnienia, przystanek w bardzo długiej podróży. Siedziała nieruchomo na pościeli, wyrывая długo zapuszczane w nim korzenie.

Wtem z podwórza dobiegła ją skoczna muzyka. Muzycy przegonili zadumę raz na zawsze, wlewając w strwożone serce Eleonory radość i pewność siebie. Razem z

kapelą przybyli pierwsi goście, a w ciągnącym się za nimi orszaku zmierzało niemal całe opole. Nieobecni byli jedynie seniorzy, którzy nie mieli już sił na zabawę, matki z dopiero co porodzonymi maleństwami oraz pan młody ze swym swatem. Na czele procesji jak zwykle przy ceremoniach maszerował ubrany w książęce barwy starosta. Tuż za nim szły druhny odziane w odświętne, ciągnące się ze nimi suknie, a wszystkie były dumne, jakby to one wychodziły dzisiejszego dnia za mąż.

Rodzice panny młodej powitali pochód na podwórzu, po czym kapela śpiewem poczęła wywoływać narzeczoną z otoczonego słonecznikami domu. Po dłuższej chwili, kiedy niepewność zakiełkowała w niejednej piersi, drzwi białej chaty się otworzyły. Przekroczywszy wysoki próg, uśmiechnięta Eleonora zbliżyła się do wzruszonego Lubomira.

– Jedź z bogami, córuś. Niech ci Łada błogostawi, niech wszystkich nas błogostawi – powiedział, a następnie zapłakał rzewnie, obcałowując swoje dziecko.

– Błogosław, Łado, naszym gościom, błogosławże im! – dodała uradowana matka, powstrzymując kręcące się w oczach łzy szczęścia.

Cisza nie zdążyła zawisnąć nad zagrodą, gdy starosta wraz ze złotowłosą Wandą ruszyli w stronę panny młodej. Druhna pewnym ruchem zdjęła chustę z włosów Eleonory, po czym biegała między gośćmi z wiklinowym koszykiem, wołając:

– Zbieramy na grzebień dla narzeczonej!

Niektórzy wrzucali drobne datki, inni wkładali do środka grube sakwy tak, by wszyscy sąsiedzi mogli się im przyjrzeć. W tym czasie starosta Barnim rozplótł wczorajszy warkocz, ostrożnie wyjmując zeń białe i błękitne kwiaty. Kiedy kasztanowe włosy Eleonory zakołysały się na dmącym od morza wietrze, przysłała żona weszła na przystrojony w biel wóz. Goście weselni, jedni pieszo, inni na przysadzistych koniach, podążyli za przybraną bryczką, którą powoził ojciec panny młodej. Orszak ciągnął w kierunku Świętego Gaju. Tak zakończyły się rozpleciny.

Gdy orszak dotarł do głównej alei wsi, na horyzoncie pojawiło się trzech mężczyzn, ciągnąc za uzdy dwa konie. Powolnym krokiem zaczęli zbliżać się do pochodu, gdy nagle Isdariel wskoczył na grzbiet Swadrygi, szturchnął ją w bok, a ta popędziła wiejską drogą, wzbijając tuman kurzu. Pan młody podjechał do swej wybranki, spojrzał surowym wzrokiem na piękną Eleonorę, po czym, wyjechawszy na sam przód pochodu, poprowadził go dalej.

Isdariel odziany był jednakowo jak jadący w orszaku mężczyźni. Nosił długą do kolan, białą sukmanę, którą Wendowie przepasali wełnianym paskiem, i czarny, luźny żakiet z mosiężnymi guzikami. Jego uda lśniły niebiańskim błękitem fałdzistych spodni, niknących w wysokich, skórzanych butach na niskim obcasie. Kołyszący się w siodle pan młody mijał srebrzyste żytniska, a jego jasne jak zboża włosy falowały razem z nimi w takt grającej na północy bryzy.

Orszak stanął dopiero przed murem drzew Świętego Gaju. Ścieżyna w błogosławionej puszczy była podmywana przez okalające ją mokradła, więc dalej dwa łączące się rody oraz ich goście ruszyli pieszo, zostawiając konie i wozy przed zaklętym lasem. Nikt nie schodził z drogi, nikt nie zaglądał w nietknięte ludzką ręką głębiny kniei. Pochód zatrzymał się dopiero przed starym, świątynnym płotem. Tuż za otwartą furtką Wendów witał leciwy żerca, któremu ku zdziwieniu wielu towarzyszył jego następca – uczeń Świętosław.

– Chlebem i solą witamy państwa młodych! Witamy swata i swachę! Witamy weselników! – Kapłan ukłonił się tak nisko, jak tylko potrafił, a jego adept podał Isdarielowi bochen chleba, Eleonorze zaś niewielki garnek uwarzonej w grodzie soli.

Następnie para podążyła za czeladnikiem do rozświetlonego świecami chramu. Płonące pośrodku kąciny palenisko wnet otuliło gości swym gorejącym tchem. Narzeczeni zbliżyli się po krótkiej chwili do drewnianego bałwana, który swym srogim wzrokiem uważnie się im przyglądał. Zerknąwszy w boskie oblicze, Isdaniel poczuł na sobie jego mierzące spojrzenie. Przez moment zdawało mu się nawet, iż w dębowych oczach niebiańskiego księcia dostrzegł błękitny błysk. Czyżbym oszalał z nerwów, pytał sam siebie. Czyżby władca Maldessaru zstąpił z białego grodu na ich swadźbę? Isdaniel raz jeszcze popatrzył w śle-

pia Swaróżyca, jednak nie ujrzał w nich nic nadzwyczajnego.

Reszta gości wiała się po chwili do świątyni, kłaniając się boskim posągom. Guślarz stanął za skromnym ołtarzem, na którym leżały róg ceremonialnego miodu oraz wciąż pachnący świeżością kołacz. Starzec uniósł ręce ku niebiosom. W tym momencie Dragomir odstaąpił od przyciągającego uwagę Nurgara, podszedł do swego brata i ozdobił jego skronie dębowym wieńcem. Gdy tylko Isdariel podniósł uwieńczoną liściem głowę, z tłumu weselników wystąpiła Wanda, by ukoronować Eleonorę kwiecistym, barwnym wiankiem.

– Prosimy do zaręczyn – rzekł stary kapłan, po czym państwo młodzi wyciągnęli prawe ramiona i chwycili się za nie wyjątkowo silnie. – Łączmy miłujące się dłonie, łączmy je przy zacnym gronie – dodał, a Świętosław obwiązał ich drżące ręce czerwoną szarfą.

Ku uciesze zebranych, swat złapał Isdariela za ramiona, a swacha Eleonorę za biodra. Narzeczeni trzymali się tak zaciekle, aż posiniały im palce, gdyż Dragomir wraz z Wandą sprawdzali wytrwałość ich uchwytu, ciągnąc do siebie swoich bliskich. Tak na swadźbie sprawdzano stałość przyszłego małżeństwa. Szczęśliwie uścisk był nader solidny.

Wśród śmiechu i oklasków żerca ułamał dwa kawałki obrzędowego pieczywa, wręczył go parze młodej, po czym przemówił:

– Ten chleb jest wasz wspólny, tak jak los, który od dzisiaj dzielicie. Oby życie wasze błogosławili wszyscy słuchający nas bogowie, oby nigdy nie zabrakło wam bogactw, gościnności i spokoju w waszym przyszłym domu. Niech stoły waszego gospodarstwa pełne będą kołaczy, a małżeństwo pełne miłości. – Po tych słowach Dragomir podzielił resztę świętego bochna, którym Wanda poczęstowała wszystkich gości bez wyjątku.

– Odtąd będziecie pożywać wspólny chleb życia do-
zgonnie – dodał guślarz, kiedy każdy otrzymał już po ka-
wałku godowego kołacza.

Następnie uczeń Świętosław wręczył narzeczonym jasne jak mleko puchary, uniósł z ołtarza róg ceremonialnego miodu i nalał go wpatrzonym w swoje oczy młodym, którzy wciąż trzymali się kurczowo za dłonie. Isdariel i Eleonora musieli opróżnić swe naczynia, a gdy tak też się stało, czeladnik kapłana zbliżył się do swata i swachy, by i ich poczęstować złocistym nektarem Windei.

– Niechaj pan młody na dowód swej miłości aż do zgonu odda wybrance dębowy wieniec – symbol siły, zaś panna młoda niechaj odda wybrankowi wieniec kwiatów – symbol piękna! – rozkazał żerca.

Isdariel chwycił za dębowe gałązki, zdjął stroik z głowy i, wpatrując się nieprzerwanie w piękną, jasną twarz Eleonory, powiedział:

– Klnę się na Swaroga, praojca wszechświata i Wiecznie Płonące Słońce, miłować ciebie, żono, dopóki

czas ponownie nie zaśnie. – W tym momencie na twarzy pana młodego zagościł uśmiech tak szczery, że nawet boska dłoń nie byłaby w stanie go przegnać.

Nastała krótka chwila ciszy i poruszenia, podczas której władztwo nad chramem przejęły sykniecia paleńska. O dziwo spokojna Eleonora zdjęła ze swych skroni kwietny wianek, zajrzała w duszę Isdariela, po czym rzekła:

– Klnę się na Mokosz, pramatkę ziemię i jedyną płodną z ośmiu sióstr, miłować ciebie, mężu, dopóki czas ponownie nie zaśnie.

Państwo młodzi wymienili się wieńcami na znak wieczystej miłości.

– Oby łoże było wam wygodne! Oby Łada, łaskawa opiekunka domowego ogniska, błogosławiła wam i w dzieciach was nagradzała! – zawołał żerca, a wszyscy, włącznie z nim samym, wybuchnęli niepohamowaną radością. Świątynia tonęła w krzykach i oklaskach niemal całego opola.

Nowożeńcy wspólnie otworzyli ciężkie, drewniane odrzwia chramu. Wiecznie Płonące Słońce z trudem przebijało się przez gęste korony rozłożystych wierzb. Nagle kilka świec zgasło, zdmuchniętych przez wpuszczony do kąciny podmuch wiatru. Chłodne powietrze w okamgnieniu wypełniło swą błogą aurą zadymiony budynek. Świątynia opustoszała w jednej chwili. Tłum Wendów już stał między nią a płotem, radując się z tego szczególnego dnia.

– Niech będzie pochwalone światło i żywy ogień! – zawołała matka Eleonory.

– Gorzko! Gorzko! – wołali goście weselni.

Młode małżeństwo zatoneło w pocałunku, mając za świadków pradawnych mieszkańców przedwiecznego gaju. Zanurzeni w namiętnej miłości, zapomnieli o całym świecie. Wtem Isdariel mimowolnie otworzył oczy. Jakby omamiony czarem, wbijał wzrok w odległą, ginącą w ciemnościach wnękę kąciny. Widział, jak żerca zwraca wołowy róg do ręki bałwana, na którego lico padał błyśnięcie snop swarogowego tronu. Stąd długie włosy i bujna broda bożyszczka zdawały się lśnić niczym szczerze złoto. Pan młody liczył po cichu, że znów uda mu się dojrzeć błękitny blask niebios w drewnianych ślepiach posągu, jednak nic takiego się nie wydarzyło. Oblicze Swaróżyca niezmiennie od setek lat nie wyrażało żadnych emocji, lecz dzisiejszego dnia zdawało się promienieć z dumy.

Muzycy witali gości na podwórzu panny młodej. Bezwietrzne, ciepłe popołudnie zapowiadało jeszcze pogodniejszą noc. Stoły rozstawione w otwartej stodole prezentowały się tak bogato, jak tylko mogli pozwolić sobie na to gospodarze. Na każdym z nich apetycznie parowały misy kaszy wymieszanej z drobno pokrojonymi marchwią, rzepą i cebulą. Między nimi w wiklinowych koszykach błyszcząły jabłka, grusze, maliny i wiśnie, wszystkie pachnące słodyczą tutejszych pól. Tam, gdzie znalazło się jeszcze miejsce, pachniały

gęsiny pieczone z czosnkiem i majerankiem. Kucharki trzymały Wendów w niepewności, albowiem ich specjalność nie gościła jeszcze na weselnych stołach. Co bardziej doświadczeni w gotowaniu byli w stanie rozpoznać uciekającą ceglanym kominem woń. Kompozycja łazanek, wędzonego boczku i spadziowego miodu brzmiała nad podwórzem, jak gdyby stanowiła ona zwieńczenie tej wspaniałej uczy.

W stodole nie było miejsca, o które rodzice Eleonory by nie zadbali. Od strony pola drzwi strzegła ogromnych rozmiarów beczka, z której wydobywał się zapach ogórków kiszonych w wodzie z solankowego źródła w Żaglach. Towarzyszyła jej, niczym strażnicza siostra, drewniana żerdź, służąca za stelaż dla wędzonych dorszy, fląder, sandaczy i królewskich łososi. Nawet stropowe belki poprzepłatane były gałązkami leszczyny.

Zniecierpliwieni weselnicy bezzwłocznie zajęli długie ławy. Wnet otwarto antały pszennego piwa, odkorkowano najzacniejsze w opolu dwójniaki i trójniaki, po czym z pełnymi kubkami rozpoczęto biesiadę. Nowożeńcy to jedli, to pili, to ku uciesze gości za pomocą pocałunków udowodniali im autentyczność swojego uczucia, a gdy w końcu większość Wendów, prócz brzuchów, nasyciła się także widokiem gorejącej miłości, Isdaniel uderzył ręką w stół. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę.

– Zagrajcie coś radosnego! – krzyknął do kapeli, złapał swoją żonę za dłoń i, wyszedłszy na środek podwórka, po raz pierwszy zatańczyli jako małżeństwo.

Muzyka donośnym echem odbijała się od budynków zagrody. Nie minęła krótka chwila, nim do młodej pary dołączyły inne. Nawet pokryty końskimi symbolami Sador bawił się razem z Wandą.

Przyszła noc, firmament rozświetliło mrowie nieśmiertelnych lamp, a zabawa zdawała się nie mieć końca. Gwar niósł się na skrzydłach znikomego powiewu przez pola i bory aż do spienionych brzegów Wielkiego Morza Dodoli. Rozmowy nasiąkały mocą i entuzjazmem z każdą mijaną godziną, i choć pora była późna, a księżycowe okręty prześcigały się w niebiańskim wyścigu ku świtaniu, tańczono bez utraty sił. Podwórze roiło się od rozradowanych gości, starych i młodych, od kucharek pracujących w pocie czoła, od roześmianych drухen i sposepniałych chłopów. Błękitny Maldessar skrył się za pojedynczymi kłębami chmur, oddając Kwarowi panowanie nad nocnym sklepieniem. Jadeitowy blask rozlał się po okolicy.

Dragomir siedział przed zagrodą z dala od biesiadników. Zaglądając w gwiazdne latarnie, błędził myślami po wieżach Taloru, po jego zimnych korytarzach i przestronnych komnatach. Tonąc wzrokiem w nieśmiertelnych ognikach, raczył się miodnym nektarem, szukając na niebie twarzy, której nie był w stanie zapomnieć. Z dala od zgiełku, wśród szumu śpiącego żytniska, rozmyślał.

Błogi spokój przerwały dobiegające zza kamiennej stajni podniesione głosy. Skryte przed weselnikami, szep-

tały z wyraźnym niepokojem. Dragomir przepłukał gardło, odstawił bezszelestnie gliniany kubek i cicho niczym szpieg podkraść się do skraju budynku.

– Nikomu nie wolno ci o tym wspomnieć – wymamrotał wyraźnie strwożony mężczyzna.

– Widziałem to. Kupała mnie przestrzegła – odrzekł chrapliwym głosem stary żerca.

– Postępuj zgodnie z moją radą, a uda nam się zachować wszystko to, na co tak długo pracowaliśmy... Musimy myśleć o przyszłości! – Rozmówca z trudem stłumił krzyk. – Świat się zmienia i nic na to nie poradzimy. Możemy z nim płynąć bądź mierzyć się z jego strasliwym prądem. Czas ci udowodni, że to słuszna decyzja.

– Czas nas rozliczy i czynić to będzie bez litości czy miłosierdzia – dodał kapłan.

Dragomirowi serce biło jak młotem. Co tu się dzieje, pytał rozsianych po niebie gwiazd, a następnie cofnął się dyskretnie, by czym prędzej wrócić na zatłoczone podwórze. Oparłszy się o biały dom gospodarzy, uważnie śledził każdego przechodzącego przy stajni Wenda. Rycerz sięgnął odruchowo po miecz, jak zawsze, gdy napawała go zgroza, jednak ten leżał pod kocem w zagrodzie Isdariela. Nic nie zdołam uczynić, ganił się bez przerwy.

Wtem zza kamiennej ściany wyszedł wsparty na kosturze guślarz, podszedł do stołu jak gdyby nigdy nic i, skupiając na sobie uwagę biesiadników, zawołał w stronę nowożeńców:

– Gorzko! Gorzko! – grzmiał ostatkiem sił, a kiedy oczy Wendów zwróciły się ku państwu młodym, na podwórzu wpełzł starosta Barnim. Książęcy zarządca rozejrzał się po weselnikach niczym złodziej przyłapany na gorącym uczynku, lecz spostrzegłszy, że nikt nie zainteresował się jego zniknięciem, w jednej chwili przybrał pogodną maskę i wrócił między pozostałych gości.

Letni wiatr przegonił nieliczne łaty chmur, uwalniając Błękitny Glob. Maldessar rozjaśnił swym bladym światłem wszystko, aż po odległy horyzont. Wybiła północ. Wskoczywszy na długi stół, Wanda zaczęła śpiewać:

*Oj, chmielu, chmielu, ty bujne ziele,
nie będzie bez cię żadne wesele.
Oj, chmielu, oj, niebożę,
to na dół, to ku górze,
chmielu niebożę!*

*Ażebyś, chmielu, na tyczki nie laźł,
nie robiłbyś ty z panienek niewiast.
Oj, chmielu, oj, niebożę,
niech Perepłut pomoże,
chmielu, niebożę!*

Po chwili dołączyły do niej pozostałe drużyny, zastępując gwar zabawy kojącą, niemal uwodzicielską pieśnią,

a kiedy zakończyły nucić weselny hymn, Eleonora rzuciła się do ucieczki po własnym podwórzu. Wenedki goniły ją przy salwie śmiechu pozostałych biesiadników. Prędko pochwycono młodą mężatkę, usadzono ją na krześle pośrodku stodoły, po czym Wanda z tęsknotą w oczach zdjęła z jej skroni dębowy wieniec. Wtem błysło między stołami. Isdariel podszedł do swej żony z lśniącym mieczem w dłoni, chwycił pęk kasztanowych włosów i uśmiechnął się do niej nieśmiało. Ta zamknęła oczy. Świst Żurawia zaległ w zagrodzie.

Zaraz potem gospodyni wręczyła druhnom finezyjnie haftowany czepiec. Wanda i Eleonora spoglądały sobie głęboko we wzruszone oczy, podczas gdy pozostałe panny zakładały młodej małżonce symbol zamążpójścia. Tak, wśród gratulacji i braw, kończyła się część ich wspólnego życia. Jedna z przyjaciółek stanęła na rozstajach nieznanym dotąd dróg, inna podążyła gościńcem przeznaczonym tylko jej. W ten sposób rozpoczął się pierwszy dzień ich nowego żywota.

W zagrodzie pozostali już tylko najwytrwalsi z gości. Stali oni na środku podwórza, żegnając odjeżdżających nowożeńców. Swadryga stała zaprzęgnięta do wozu ojca panny młodej. Isdariel rzucił wodze na miejsce woźnicy, poklepał zaspaną klacz po pysku, po czym odwrócił się w stronę Eleonory, która nie dając po sobie poznać, walczyła z sercem rozdartym na dwie połowy.

– Siadaj, kochana! Koń już gotów! – krzyknął ostentacyjnie, jak nakazywał zwyczaj.

– Zaraz. Chcę się jeszcze pożegnać z domem – odrzekła niemal szeptem, znikając za progiem białej chaty.

– Pamiętasz, jak my jechaliśmy na swoją pierwszą wspólną noc? – zapytała swojego męża gospodini. Uśmiech nie zagościł jednak na twarzy Lubomira. Zmartwiony ojciec ronił łzy za córką, choć ta wciąż przy nim była. Wiedział, że wraz z jej odejściem przeminie niezwykłość jego życia, że nie powtórzą się te wszystkie chwile, z których mógł wybierać najwspanialsze, że nigdy nie będzie tak, jak było do tej pory.

Eleonora siedziała przed zakurczonym lustrem, w pokoju, gdzie spędziła całe doczesne życie. Patrząc we własne odbicie, dostrzegała zarys minionej przeszłości. To tutaj tańczyła pełna radości, tu płakała pełna żalu, tu zasypiała spokojnym snem. Przybyła pożegnać się z domem, lecz tak naprawdę opuszczała samą siebie z dawnych lat. W swoich oczach próbowała odnaleźć Eleonorę z czasów dzieciństwa, jednak mnogie komnaty wspomnień bywają zawodne. Wyciągnęła prawą rękę, dotknęła zakurzonego zwierciadła, wstała, po czym ostatni raz poprawiła niedokładnie złożoną pościel. Następnie zeszła po starych schodach, których skrzywienia знаła jak palce własnej dłoni, i bez zamiaru powrotu opuściła swój dawny dom.

Isdaniel czekał na nią przy wozie. Pomógłszy jej wsiąść, przytulił ją do piersi, by wspólnie ruszyć w jasną

noc do mężowej zagrody. Lubomir żegnał ich tęsknym wzrokiem. Wiedział, że nazajutrz córka przyjedzie na obiad, jednak w głębi serca czuł, jakby na furmance odjeżdżała część jego duszy. Wtem żona chwyciła go za dłoń.

– Znaleźliśmy chłopaka dla naszej dziewczyny. Raduj się! Raduj się, gospodarzu! Błękitna Łada sprowadzi do naszego domu tyle zdrowia, ile liści wyrosło we wszystkich lasach Parsanu! – pocieszała ukochanego.